

PIERRE JOSEPH PROUDHON

O Zasadzie Władzy



LIDZBARK WARMIŃSKI

MMXIII

Pierre Joseph Proudhon był twórcą teorii głoszącej program stopniowych reform. Proponował utworzenie federacji gmin drobnych samodzielnych wytwórców oraz utworzenie banku wymiany wyprodukowanych towarów i zniesienie pieniądza.

Niniejsza broszura przedstawia krytykę ówczesnej władzy i form jej działania.

Przedruk: *Red Rat*, Nr 44 1999

OGÓLNA KRYTYKA IDEI WŁADZY

Wykazałem trzy rzeczy:

1. Że zasada władzy i rządu ma swoje źródło w empirycznych danych rodziny.
2. Że zasada ta była stosowana zgodnie przez wszystkie ludy jako warunek ładu społecznego.
3. Że w pewnym momencie historycznym zasadę tę zaczęto samorzutnie negować i zastępować ją inną ideą, która od owego czasu wydawała się podrzędną, mianowicie ideą umowoy zakładającą ład całkowicie odmienny.

W części drugiej przypominę pokrótce sprawy czy też raczej wywoady, zarówno faktyczne jak prawne, które prowadzą społeczeństwo do negocjowania władzy i które uzasadniają jej potępienie. Krytyka, którą podaję niżej, nie pochodzi ode mnie, jest dziełem samych ludów; krytyka wszczynana niejednokrotnie, a zawsze w oparciu o różne dane; krytyka, której wnioski niezmiennie te same narzucają się przy każdym doświadczeniu i które w naszych czasach, jak się wydaje, powinny być ostateczne. Podaję tu myśl nie swoją: jest to myśl stuleci, jest to opinia rodzaju ludzkiego. Pełnię tu tylko służbę sprawozdawczą.

I. Teza – władza absolutna

Każda idea ustala się lub odpiera zarzuty za pomocą szeregu terminów, które są jak gdyby jej organizmem, spomiędzy których ostatni wykazuje niezbitcie jej prawdę lub fałsz. Jeżeli ewolucja, zamiast odbywać się po prostu w umyśle poprzez teorie, dokonywa się jednocześnie w instytucjach i w działaniach, wówczas tworzy historię. To jest właśnie przypadek reprezentowany w stosunku do zasady władzy czy rządu.

Pierwszym terminem, pod którego postacią przejawia się ta zasada, jest władza absolutna. To jest najczystsza formuła rządu, najracjonalniejsza, najenergiczniejsza i ogólnie biorąc, najmniej niemoralna i najmniej trudna.

Ale absolutyzm w swym naiwnym wyrazie jest wstrętny dla rozumu i dla wolności; świadomość ludu burzyła się zawsze przeciwko niemu; a w ślad za świadomością szedł bunt, który głośno wypowiadał swój protest. Zasada była przeto zmuszona do wycofania się; cofała się krok za krokiem, idąc na szereg ustępstw, z których każde było bardziej niewystarczające niż inne i spośród których ostatnie, czysta demokracja czy rząd bezpośredni, stawało się niewykonalne i doprowadzało do absurdu. Kiedy absolutyzm jest pierwszym terminem szeregu, to terminem ostatnim, proroczym, jest a n a r c h i a rozumiana w każdym jej sensie.

Przejrzymy teraz po kolei główne terminy tej wielkiej rewolucji.

Ludzkość zapytuje swoich władców: Dlaczego rościecie sobie pretensje do panowania nade mną i do rządzenia mną?

Oni odpowiadają na to: Dlatego, że społeczeństwo nie może obejść się bez ładu; dlatego, że w społeczeństwie muszą być ludzie, którzy słuchają i pracują, podczas gdy inni rozkazują i kierują; dlatego że zdolności indywidualne są niejednakowe, że interesy są sobie przeciwstawne, że namiętności są antagonistyczne, że dobro poszczególnych jednostek jest sprzeczne z dobrem powszechnym – dlatego właśnie musi istnieć władza, która wyznacza granice praw i obowiązków; sędzia, który rozstrzyga zatargi; władza publiczna, która wykonywa wyroki władcy. Otóż władza, państwo, jest właśnie tą władzą dyskrejonalną, tym sędzią, który oddaje każdemu to, co mu się należy, tą siłą, która zapewnia i każe szanować pokój. Krótko mówiąc, rząd jest podstawą i rękojmą ładu społecznego: jest tym, co wspólnie uznają zdrowy rozsądek i natura.

Ten wykład powtarza się od zarania społeczności. Brzmi on tak samo we wszystkich epokach, jest na ustach wszelkich władz: napotykanie identyczny, niezmienny w książkach ekonomistów maltuzjanistów, w dziennikach reakcji oraz w zakonnych profesjach republikańskich. Różnica między nimi wszystkimi polega jedynie na rozmiarach ustępstw, jakie zamierzają one czynić wolności w myśl zasady: ustępstwa pozorne, dodające do form rządu zwanych umiarkowanymi, konstytucyjnymi, demokratycznymi itp. okrasę hipokryzji, której smak czyni je jeszcze bardziej godnymi pogardy.

W ten sposób rząd w prostocie swej natury przedstawia się jako absolutny, konieczny, *sine qua non* warunek ładu. Dlatego rząd dąży zawsze i pod wszelkimi pozorami do absolutyzmu: istotnie, zasada głosi, że im rząd jest silniejszy, tym ład bardziej się zbliża do doskonałości. Te dwa pojęcia, rząd i ład, byłyby więc we wzajemnym stosunku przyczyny do skutku: przyczyną byłby rząd, skutkiem zaś ład. Bardzo podobnie rozumowały społeczeństwa pierwotne. Zauważyliśmy nawet w tej kwestii, że po tym, kiedy te społeczeństwa były w stanie zrozumieć przeznaczenie ludzkie, było już rzeczą niemożliwą, aby rozumowały inaczej.

Niemniej jednak rozumowanie to jest błędne, a wniosek absolutnie niedopuszczalny, zważywszy, że według logicznej klasyfikacji idei stosunek rządu do ładu nie jest bynajmniej, jak utrzymują szefowie rządu, stosunkiem przyczyny do skutku, lecz stosunkiem szczególnego do ogólnego. Ład – to rodzaj; rząd – gatunek. Innymi słowy, istnieje kilka sposobów rozumienia ładu: który z nich nam dowiedzie, że ład w społeczeństwie ma być taki, jaki jego władcom podoba się wyznaczyć?...

Przytacza się, z jednej strony, przyrodzoną nierówność zdolności i stąd wnioskuje się o nierówności warunków; z drugiej strony, przytacza się niemożność sprowadzenia do wspólnego mianownika

rozbieżnych interesów oraz uzgodnienia uczuć.

Ale w tym antagonizmie można widzieć co najwyżej zagadnienie do rozstrzygnięcia, ale nie pretekst do tyranii. Nierówność zdolności! Rozbieżność interesów! O, władcy w koronach, z różgami liktorskimi we wstęgach, oto jest właśnie to, co my nazywamy zagadnieniem społecznym: a wy myślicie uporać się z tym za pomocą kija i bagnetu! Saint-Simon miał słuszość, używając jako synonimów tych dwóch wyrazów: rządowy i wojskowy. Rząd ustanawiający ład w społeczeństwie to Aleksander przecinający mieczem węzeł gordyjski.

Cóż więc, pasterze ludów, upoważnia was do twierdzenia, że zagadnienie sprzeczności interesów oraz nierówności zdolności nie może być rozstrzygnięte? Że z tego nieuchronnie wynika różnica klas – i że po to, aby utrzymać tę naturalną i opatrnościową różnicę, konieczna i uprawniona jest siła? Ja, przeciwnie, twierdzą wraz z tymi, których świat nazywa utopistami, ponieważ odrzucają waszą tyranję, że rozwiązanie można tu znaleźć. Niektórzy sądzili, że odkryli je w gminie, inni w stowarzyszeniu, jeszcze inni w działalności przemysłowej. Ja ze swojej strony powiadam, że tkwi ono w organizacji sił ekonomicznych poddanych najwyższemu prawom umowy. Któż wam mówi, że żadna z tych hipotez nie jest prawdziwa?

Waszej teorii rządowej, której źródłem jest tylko wasza ignorancja, podstawą tylko sofizmat, środkiem tylko siła, celem tylko wyzyskiwanie ludzkości – postęp pracy, postęp idei przez moje usta przeciwstawia następującą teorię liberalną:

Znaleźć formę układu, który sprowadzając do wspólnego mianownika rozbieżność interesów, identyfikując dobro poszczególne z dobrem ogólnym, zacierając nierówności naturalne za pomocą wychowania – rozwiązywałby wszelkie sprzeczności polityczne i ekonomiczne; znaleźć taką formę układu, gdzie każde indywidu-

um byłoby jednakowo i jednoznacznie wytwórcą i konsumentem, obywatelem i księciem, administrującym i administrowanym; gdzie jego wolność stale wzrastałaby i gdzie nigdy nie byłoby zmuszone jej za przedawać; gdzie jego dobrobyt wzrastałby w sposób nieograniczony, przy czym nie mogłoby ono doznać ze strony społeczeństwa lub swych współobywateli żadnego uszczerbku ani w swej własności, ani w swej pracy, ani w swych dochodach, ani w swych interesach, opinii czy uczuciach łączących je z bliźnimi.

I cóż! Warunki te wydają się wam niemożliwe do zrealizowania? Umowa społeczna, gdy rozważacie przerażającą mnogość stosunków, jakie powinna uregulować, wydaje się wam czymś najbardziej zawyżonym, co można sobie w ogóle wyobrazić, czymś podobnym do kwadratury koła, do *perpetuum mobile*. Pochodzi to stąd, że zmęczeni walką przierzucacie się do absolutyzmu, do siły.

Rozważcie jednak, że jeżeli umowa społeczna pomiędzy dwoma wytwórcami może być rozwiązana – a któż w to wątpi, że zredukowana do tych prostych terminów nie mogłaby być rozwiązana – to tak samo może być rozwiązana pomiędzy milionami, dotyczy to bowiem wciąż tego samego zobowiązania, a ilość podpisów, czyniąc umowę bardziej zobowiązującą, nie dorzuca do niej ani jednego paragrafu. A więc przyczyna waszej bezsilności nie daje się uznać: jest śmieszna i nie do darowania.

A oto co powiada wam, ludziom stojącym u władzy, wytwórca, proletariusz, niewolnik, ten, kogo zamierzacie zmusić do pracowania dla was: Nie żądam ani odrobiny czyjegoś mienia, ale nie mogę tolerować, aby owoc mojej pracy stawał się czyjś łupem. Ja także pragnę ładu tak samo, a nawet więcej niż ci, którzy go zakłócają przez swoje tak zwane rządzenie; ale ja pragnę ładu jako działania mojej woli, jako warunku mojej pracy i prawa mego rozumu. Ja nigdy nie zniosę ładu wypływającego z cudzej woli i narzucającego mi zależność oraz poświęcenie jako warunki przedwstępne.

II. Prawa

Pod naciskiem niecierpliwości ludów i groźby buntu rząd musiał ustąpić; obiecał instytucje i prawa; oświadczył, że jest jego najgorętszym życzeniem, aby każdy mógł korzystać z owoców swej pracy w cieniu swej winnicy i swego figowca. Było to koniecznością wypływającą z jego sytuacji. Istotnie, od czasu kiedy przedstawił się jako sędzia z prawa, wszechwładny pan losów, nie mógł rościć sobie pretensji do kierowania ludźmi według swego widzimisię. Czy to będzie król, czy prezydent, dyrektoriat, komitet, zgromadzenie ludowe – wszystko jedno – w rządzeniu musi się kierować pewnymi regułami postępowania: jakże inaczej można by uzyskać posłuch wśród swych podwładnych? W jaki sposób obywatele mieliby się stosować do ładu, jeżeliby o tym ładzie nie byli powiadomieni; albo jeżeliby ów ład, o którym zaledwie zostali zawiadomieni, był wnet odwołany: jeżeliby zmieniał się z dnia na dzień, z godziny na godzinę?

A więc rząd będzie musiał stanowić prawa, tj. zakreślać granice samemu sobie: albowiem wszystko, co jest regułą dla obywatela, staje się granicą dla księcia. On wyda tyle ustaw, ile spraw mu się narzęczy: a ponieważ sprawy są niezliczone, ponieważ stosunki, rodzące się jedne z drugich, mnożą się w nieskończoność, ponieważ antagonizmy nie mają końca – przeto prawodawstwo będzie musiało działać bez wytchnienia. Ustawy, dekrety, edykty, rozporządzenia, uchwały będą gradem spadały na biedny lud. Po jakimś czasie grunt polityczny będzie pokryty warstwą papieru, co geologowie rejestrujący zmiany w skorupie ziemskiej zapiszą pod nazwą *formacji papierowo-oschłej*. Konwent w ciągu trzech lat, jednego miesiąca i czterech dni wydał jedenaście tysięcy sześćset ustaw i dekretów; Konstytuanta oraz Zgromadzenie Ustawodawcze wyprodukowały ich niewiele mniej, Cesarstwo i rządy późniejsze pracowały w taki sam sposób. Obecnie *Bulletin de Lois* zawiera ich podobno

ponad pięćdziesiąt tysięcy; jeżeliby nasi przedstawiciele sumiennie spełniali swe obowiązki, to ta ogromna liczba wkrótce by się podwoiła. Czy sądzicie, że lud i nawet sam rząd zachowuje rozum w tym labiryncie?...

Zapewne, odeszliśmy już daleko od instytucji pierwotnej. Rząd – jak mówią – odgrywa w społeczeństwie rolę ojca; otóż, jakimu ojcu wpadnie kiedykolwiek na myśl zawierać układ ze swoją rodziną? Nadawać akta swoim dzieciom? Zaprowadzać równowagę sił między sobą a ich matką? Głowa rodziny jest inspirowana w swoich rządach przez swoje serce; ojciec nie zabiera majątku swoich dzieci, on je utrzymuje własną pracą; kierowany miłością, liczy się tylko z korzyścią rodziny oraz z zachodzącymi okolicznościami; jego prawem jest jego wola i wszyscy, matka i dzieci, mają do niej zaufanie. Małe państwo byłoby zgubione, gdyby władza ojcowska napotkała najmniejszą choćby opozycję, gdyby była ograniczona w swych prerogatywach i z góry określona co do swoich wyników. I cóż! Czy byłoby prawdą, że rząd nie jest ojcem dla ludu, skoro poddaje się przepisom wypływającym z układów, za pomocą których wdaje się w kompromisy ze swymi podwładnymi i pierwszy staje się niewolnikiem racji, która – czy jest boska, czy ludowa – nie jest jego racją?

Jeżeliby tak było, nie widzę powodu, dla którego bym ja sam miał ulegać prawu. Kto jest tym, kto mi zapewnia sprawiedliwość, szczerłość? Skąd się one biorą? Kto je urzeczywistnia? Rousseau poucza własnymi słowami, że w rządzie prawdziwie demokratycznym i wolnym obywatel, będąc posłusznym prawu, jest posłuszny jedynie własnej swej woli. Otóż prawo zostało ustanowione bez mojego udziału, pomimo absolutnej niezgodności z moimi poglądami, pomimo krzywdy, jaką mi wyrządza. Państwo bynajmniej nie pertraktuje ze mną, ono nie idzie na żadną wymianę; ono mnie obdziera. Gdzież jest więc więź, więź sumienia, więź rozumu, więź namiętno-

ści czy interesu, która mnie obowiązuje?

Ale cóż ja mówię? Prawa dla tego, kto myśli samodzielnie i powinien odpowiadać tylko za swoje własne czyny! Prawa dla tego, kto pragnie być wolny i czuje się do tego powołany! Jestem gotów pertraktować, ale nie chcę praw; nie uznaję żadnego prawa; protestuję przeciwko wszelkiemu ładowi, jaki spodoba się rzekomo koniecznej władzy narzucić mojej wolnej woli. Prawa! Wiadomo, czym one są i jaką posiadają wartość. Pajęczyny dla możnych i bogatych, łańcuchy, których żadna stal nie zdoła przeciąć, dla małych i ubogich, sieci rybackie w rękach rządu.

Mówicie, że ustanowi się niewiele praw, że ustanowi się prawa proste, że będą one dobre. To jeszcze jedno ustępstwo. Rząd widocznie poczuwa się do winy, jeżeli w ten sposób wyznaje swoje błędy! On niewątpliwie ku pouczeniu ustawodawcy i zbudowaniu ludu każe wyrycić na frontonie Pałacu Ustawodawstwa ów wiersz łaciński, jaki pewien proboszcz burgundzki wypisał na drzwiach swej piwnicy jako wyznanie swojej gorliwości w służbie Bachusa:

Pastor ne noceant, bibo pauca, sed optima, vina!

Prawa nieliczne, prawa doskonałe! Ależ to jest niemożliwe! Czyż rząd nie musi regulować wszystkich spraw, rozstrzygać wszystkich sporów? A wszak sprawy ze względu na charakter społeczności są niezliczone, stosunki nieskończenie zmienne i płynne: jakże więc byłoby możliwe, aby regulowało je tylko niewiele praw ustanowionych? Czyż prawa te mogłyby być proste? Czy nawet najlepsze prawo nie stałoby się w krótkim czasie nienawistne?

Mówi się o uproszczeniu. Ale jeżeli można uprościć je w jednym punkcie – można je uprościć we wszystkich punktach; zamiast miliona praw wystarczy jedno prawo. Jakież to będzie prawo? Nie czyńcie bliźniemu tego, czego nie chcecie, by wam czyniono; czyńcie bliźniemu to, co chcecie, aby

wam czyniono. Oto prawo i prorocstwo. Ale jest rzeczą oczywistą, że to już nie jest prawo; jest to elementarna formuła sprawiedliwości, reguła wszelkich układów. A więc uproszczenie prawa doprowadza nas do idei umowy, a więc do negacji władzy. Istotnie, jeżeli prawo jest jedyne, jeżeli rozwiązuje wszystkie antynomie społeczności, jeżeli jest przyjęte i uchwalone przez wszystkich, to jest adekwatne w stosunku do umowy społecznej. Głosząc je, obwieszczenie koniec rządu. Któż wam przeszkadza wprowadzić to uproszczenie bezzwłocznie?

III. Monarchia konstytucyjna

Przed rokiem 89 rząd we Francji był tym, czym jest jeszcze w Austrii, w Prusach, w Rosji oraz w kilku innych krajach Europy: był władzą bez kontroli otoczoną kilkoma instytucjami reprezentacyjnymi wobec wszystkich sił prawa. To była – jak mówi Montesquieu – monarchia umiarkowana. Rząd ten zniknął wraz z prawami feudalnymi i duchownymi, których odważył się bronić wprawdzie nie w porę, ale bardzo sumiennie; po silnych wstrząsach i po licznych oscylacjach rząd ten został zastąpiony tzw. rządem reprezentacyjnym, czyli monarchią konstytucyjną. Powiedzieć, że wolność i dobrobyt ludu coś na tym zyskały, pomijając uwolnienie od praw feudalnych, które zostały zniesione, oraz sprzedaż odzyskanych majątków narodowych – to posunąć się o wiele za daleko; niemniej jednak należy przyznać, i to jest rzeczą pewną, iż to nowe wycofywanie się zasady rządowej wywołało postęp negacji rewolucyjnej. W tym leży przyczyna realna, decydująca, która sprawia, że my, biorący pod uwagę jedynie prawo, dajemy pierwszeństwo monarchii konstytucyjnej przez monarchią umiarkowaną, podobnie jak demokracja reprezentacyjna czy reżim powszechnego głosowania zasługuje w naszych oczach na pierwszeństwo przed konstytucjonalizmem, a także rząd bezpośredni zasługuje na pierw-

szeństwo przed rządem reprezentacyjnym.

Ale jest do przewidzenia, że kiedy rząd bezpośredni dojdzie do kresu, zamęt osiągnie swój szczyt, i wówczas pozostanie tylko jedno z dwojga: albo przystać na jego ewolucję od nowa, albo też przystąpić do jego zniesienia.

Wróćmy do naszej krytyki.

Suwerenność – mówią konstytucjoniści – należy do ludu. Rząd z niego pochodzi. Niechaj więc naród w swej najbardziej oświeconej części zostanie powołany, do wybrania spośród siebie, obywateli najbardziej wyróżniających się swoim majątkiem, swą wiedzą, swoimi talentami czy cnotami, najbardziej bezpośrednio interesujących się sprawiedliwością praw, dobrą administracją państwa i najbardziej zdolnych do współdziałania w tych sprawach. Niechaj ci wybrani zbierają się okresowo, naradzają regularnie, utworzą radę przy księciu, niechaj biorą udział w sprawowaniu przezeń władzy; wówczas uczyni się dla wolności i dobrobytu ludzi wszystko, czego się można spodziewać po niedoskonałości naszej natury. Wówczas rząd znajdzie się poza niebezpieczeństwem i zawsze będzie współdziałał z ludem.

Zapewne, są to wielkie słowa, ale świadczyłyby o wielkim szelmostwie, jeżeli po roku 89, i to dzięki zwłaszcza Rousseau, nie bylibyśmy się nauczyli wierzyć w uczciwość wszystkich tych, którzy się w ten sposób mieszają do spraw publicznych.

Przede wszystkim chodzi o ocenę systemu konstytucyjnego, o interpretację nowego dogmatu – suwerenności ludu. Kiedy indziej zbadamy, czym jest suwerenność sama w sobie.

Do czasu Reformacji uważano, że rząd pochodzi z prawa boskiego: *Omnis potestas a Deo*. Po Lutrze zaczęto w nim widzieć instytucję ludzką. Rousseau, który jeden z pierwszych to zrozumiał, wysnuł z tego swoją teorię. Rząd pochodził z wysoka; za sprawą Rousseau uznano jego ludzkie pochodzenie, i to poprzez mecha-

nizm głosowania bardziej lub mniej powszechnego. Rousseau nawet nie starał się zrozumieć, że skoro rząd stał się w owym czasie sprzedajny i nietrwały, to właśnie dlatego, iż zasada władzy w zastosowaniu do narodu była fałszywa i niewłaściwa; że więc należało zmienić nie formę czy też pochodzenie władzy – ale zanegować samo jej stosowanie.

Rousseau nie wiedział bynajmniej, że władza, której domeną jest rodzina, jest zasadą mistyczną, poprzedzającą i przewyższającą wolę osób, której dotyczy, zarówno więc wolę ojca i matki, jak i dziecka; że to, co jest istotne dla władzy w rodzinie, byłoby jednakowo istotne dla władzy w społeczeństwie, jeżeliby w społeczeństwie była zawarta zasada i przyczyna jakiegokolwiek władzy; że skoro przyjęta jest hipoteza władzy społecznej, to władza ta nie może w żadnym wypadku zależeć od umowy; że sprzeczność tkwi w tym, iż ci, którzy powinni być posłuszni władzy, zaczynają od wydawania na nią wyroków; że odtąd rząd, jeżeli powinien istnieć, to zaistnieje z konieczności rzeczy; że reprezentuje, tak samo, jak w rodzinie, ład naturalny czy boski, co dla nas na jedno wychodzi; że nikomu nie przystoi prowadzić z nim sporów lub go osądzać; że w ten sposób do niego, dalekiego od możliwości poddania się kontroli reprezentantów, sądownictwu związków kół ludowych – do niego samego tylko należy utrzymać się, rozwijać, odnawiać się, uwieczniać itd., i to według nietykalnego sposobu, którego nikt nie ma prawa naruszyć i który pozostawia podwładnym tylko bardzo skromną możliwość urabiania opinii, informacji i formułowania utyskiwań w celu oświecenia kultu księcia.

Nie ma dwóch rodzajów rządu, jak nie ma dwóch rodzajów religii. Rząd istnieje z prawa boskiego albo nie istnieje; podobnie Religia: pochodzi z nieba albo jest niczym. Rząd demokratyczny i religia naturalna są to dwie sprzeczności, o ile nie woli się w nich widzieć dwóch mistyfikacji. Lud nie ma więcej głosu dorad-

czego w państwie niż w religii: jego rola sprowadza się do tego, by słuchał i wierzył.

Toteż wobec tego, że zasada jest nieomylna, że przywilej niekonsekwencji przynależy jedynie ludziom – to czy rząd, według Rousseau tak samo, jak według Konstytucji 91 roku i lat po niej następujących, nie jest zawsze wbrew systemowi wyborczemu tylko rządem prawa boskiego, władzą mistyczną i nadprzyrodzoną, która narzuca się wolności i sumieniu zachowując wszelkie pozory domagania się ich zgody.

Prześledźcie ten szereg:

W rodzinie, gdzie władza jest bliska sercu ludzkiemu, rząd występuje jako g e n e r a c j a .

W obyczajach dzikich i barbarzyńskich przyjmuje formę p a t r i a r c h a t u , co należy do kategorii poprzedniej albo też występuje jako siła .

W obyczajach kapłańskich opiera się na w i e r z e .

W obyczajach arystokratycznych jego podstawą jest p i e r w o r ó d z t w o lub k a s t a .

W systemie Rousseau, który stał się naszym systemem, występuje jako l o s albo też jako i l o ś ć .

Generacja, siła, wiara, pierworództwo, los, ilość – wszystko to jest jednakowo niezrozumiałe i niezbędne, wszystko to nie poddaje się zgoła rozumowaniu, domagając się jedynie podporządkowania; takie są, nie powiem zasady – bo władza tak samo, jak wolność uznaje jedynie samą siebie za zasadę – ale powiem, rozmaite sposoby, za pomocą których inwestytura władzy dokonywa się w społeczeństwach ludzkich. Instynkt ludowy szukał od wieków wyrazu dla zasady pierwotnej, naczelnej, dawniejszej, niepodlegającej dyskusji, i wyraz ten stał się tak samo pierwotny, naczelny, dawniejszy, niepodlegający dyskusji. Co się tyczy wytworów władzy, siły, wiary, dziedzictwa czy ilości, to są to formy zmienne, ale zawsze przyoble-

zione w ten średniowieczny autorytet boży; to są boskie wyroki.

Czyżby więc ilość przedstawiała dla waszego rozumu coś bardziej racjonalnego, bardziej autentycznego, bardziej moralnego aniżeli wiara lub siła? Czyżby głosowanie wydawało wam się bardziej pewne aniżeli tradycja lub dziedziczność? Rousseau powstaje przeciwko prawu siły, jak gdyby raczej siła, a nie ilość była uzurpacją. Ale czymże jest ilość? Czego jest ona dowodem? Jaką przedstawia wartość? Jaki jest stosunek między bardziej lub mniej jednomyślną i szczerą opinią głosujących a tym, co dominuje nad wszelką opinią, wszelkimi głosami – prawdą, prawem?

Cóż! Chodzi o wszystko, co mi jest najdroższe, o moją wolność, o moją pracę, o wyżywienie mojej żony i moich dzieci; a kiedy liczę na to, że wspólnie z wami opracujemy paragrafy, wy odsyłacie to wszystko do kongresu ukształtowanego przez kaprys losu! Kiedy zgłaszam się, aby zawrzeć umowę, powiadacie mi, że trzeba obrać sędziów, którzy nie znając mnie, nie wysłuchując mnie, wydadzą akt uniewinniający lub skazujący! Jaki jest, proszę was, stosunek między tym kongresem a mną? Jaką rękojmię może mi on zaofiarować? Dlaczego na rzecz jego władzy mam ponieść tak olbrzymią, niepowetowaną ofiarę, mam zaakceptować sposób, w jaki spodoba mu się rozstrzygnąć sprawiedliwą miarę moich praw, jak gdyby on był wyrazicielem mojej woli? A kiedy ten kongres po obradach, w których ja zgoła nie uczestniczę, narzuca mi swoją decyzję jako prawo i podaje mi to prawo na ostrzu bagnetu – to zapytuję: Gdyby było prawdą, że jestem po stronie władcy, co stałoby się z moją godnością? Gdybym miał uważać siebie za zawierającego umowę, to gdzież jest ta umowa?

Posłowie – tak twierdzą – będą to ludzie najzdolniejsi, najuczciwsi, najbardziej niezależni z tych, jacy są w kraju; będą wybrani jako tacy przez elitę obywateli jak najbardziej zainteresowanych łądem, wolnością, dobrobytem robotników oraz postępem. Rozum-

nie powzięta inicjatywa, która odpowiada za wartość kandydatów!

Dlaczego jednak szanowni *bourgeois*, składający się na klasę średnią, mieliby lepiej znać moje istotne sprawy aniżeli ja sam? Chodzi o moją pracę, zauważcie to, chodzi o wymianę mojej pracy, o rzecz, która, poza miłością, najmniej toleruje władzę; jak to powiada poeta:

*Non bene conveniunt nec in una sede morantur
Majestas et amor!..*

A wy wydajecie moją pracę, moją miłość *per procura*, bez mojego na to zezwolenia! Któż mnie upewni, że wasi prokuratorzy nie nadużyją swoich przywilejów i z władzy nie uczynią narzędzia wyzysku? Któż mi zaręczy, że nieznaczna ich liczba, mając związane ręce, nogi i sumienia, nie ulegnie zepsuciu? A gdyby nie chcieli ulec zepsuciu, gdyby osiągnęli to, że władza zrozumie głos rozsądku, to któż mnie upewni, że władza zechce się poddać?

Od roku 1815 do 1830 praworządny kraj był w ciągłej wojnie z władzą: walka skończyła się rewolucją. Od roku 1830 do 1848 klasa wyborcza, należycie wzmocniona po nieszczęsnym doświadczeniu Restauracji, uległa kuszeniom władzy; większość była już zdemoralizowana, gdy wybuchnął dzień 24 lutego: sprzeniewierzenie się obowiązkom skończyło się znowu rewolucją. Próba została dokonana: nie powrócą już do niej. Otóż to, zwolennicy rządów reprezentacyjnych, oddalibyście nam prawdziwą przysługę, gdybyście mogli nas uchronić przed małżeństwami przymusowymi, przed przekupstwem ministerialnym oraz przed powstańczymi ruchami ludu: *A spiritu fornicationis, ab incursu et daemio meridiano.*

IV. Powszechnie głosowanie

Rozwiązanie znalezione – wołają nieustraszeni. Niechaj wszyscy obywatele wezmą udział w głosowaniu: nie będzie takiej mocy, która by się im oparła, ani pokusy, która by ich zdeprawowała. Oto

co myśleli nazajutrz po Lutym twórcy republiki.

Niektórzy dodają: Niechaj pełnomocnictwo ma siłę nakazu, niechaj przedstawiciel będzie odwoływalny – a nienaruszalność prawa będzie zabezpieczona, wierność prawodawcy zapewniona.

Wkraczamy w chaos.

Zgoła nie wierzę, a mam po temu ważne powody, tej wieszczcej intuicji tłumu, która by mu pozwoliła rozpoznać na pierwszy rzut oka zasługi i czcigodność kandydatów. Są liczne przykłady osobistości wybranych jednogłośnie, które już na podium, gdzie się ukazywały oczom upojonego ludu, knuły zdradę. Z trudem uda się ludowi znaleźć wśród związków swoich kół na dziesięciu łajdaków jednego uczciwego człowieka...

Lecz co mnie obchodzą – powtarzam – wszystkie te wybory? Czy mi potrzeba mandatariuszy albo reprezentantów? A jeżeli trzeba, abym dokładnie określił swą wolę, to czy nie mogę jej wyrazić sam, bez niczyjej pomocy? Czy to mnie będzie więcej kosztowało i czy sam nie jestem pewniejszy siebie aniżeli swego adwokata?

Powiadają mi, że trzeba z tym skończyć, że jest rzeczą niemożliwą, abym sam zajmował się tylu różnymi sprawami; że wreszcie rada arbitrów, której członkowie będą wybrani wszystkimi głosami ludu, rokuje o wiele większe przybliżenie do prawdy i prawa aniżeli sprawiedliwość nieodpowiedzialnego monarchy, reprezentowanego przez bezczelnych ministrów i przez urzędników sądowych, którzy wskutek swej nieusuwalności są w tym samym stopniu co książę poza moim zasięgiem.

Przede wszystkim nie widzę bynajmniej konieczności skończenia z tym za taką cenę: zwłaszcza nie widzę, żeby się na takie skończenie zanosilo. Ani wybory, ani głosowanie, choćby nawet jednomyślne, nie dają żadnych rozstrzygnięć w tej mierze. Z czym skończyliśmy w ciągu lat sześćdziesięciu, kiedy to wprowadziliśmy w życie na wszystkich szczeblach jedno i drugie? Czyśmy przynajmniej

coś ustalili? Jaka wiedza spłynęła na lud z tych zgromadzeń? Jakie on zyskał rękojmie? Gdyby kazało mu się ponawiać jego pełnomocnictwo dziesięć razy na rok, zmieniać co miesiąc urzędników miejskich oraz sędziów – czyż to dorzuciłoby choć jeden centym do jego dochodu? Czy byłby przez to pewniejszy, układając się do snu każdego wieczora, że nazajutrz będzie miał za co się posilić, że będzie miał za co nakarmić dzieci swoje? Czy mógłby chociaż być pewny, że nie przyjdą go zaaresztować, wtrącić do więzienia?...

Rozumiem, że gdy chodzi o zagadnienia niepoddające się prawidłowemu rozwiązaniu, dotyczące spraw błahych, przypadków nieważnych, ulega się decyzjom arbitralnym. Tego rodzaju układy mają to do siebie pod względem moralnym pocieszające, że dają świadectwo istnienia w duszach czegoś wyższego nawet od sprawiedliwości – istnienia uczucia braterskiego. Ale gdy chodzi o zasady, o samą istotę praw, o nadawanie kierunku społeczeństwu; gdy chodzi o organizację sił wytwórczych, o moją pracę, moje wyżywienie, o moje życie; gdy chodzi o samą hipotezę rządu, która jest przedmiotem naszych rozważań – to odrzucam wszelką przypuszczalną władzę, wszelkie rozstrzygnięcie pośrednie; nie uznaję zgoła konklawe: pragnę prowadzić układy w swoich sprawach bezpośrednio, indywidualnie; powszechne głosowanie jest w moich oczach istną loterią.

25 lutego 1848 roku garstka demokratów po odrzuceniu królestwa proklamuje w Paryżu republikę. W tej sprawie nie zasięgaliby rady u nikogo, tylko u siebie samych, nie czekali, aż lud zebrany na zgromadzeniach pierwotnych wypowie się na ten temat. Przyłączenie się obywateli było przez nich śmiało przesądzone. Co do mnie, to w duszy swojej i w sumieniu swoim wierzę, że dobrze postąpili; wierzę, że mieli pełne prawo działać w ten sposób, chociaż pozostawali w stosunku do reszty ludu jak 1 do 1000. I dlatego, że byłem przekonany o słuszności ich czynu, nie wahałem się do nich przyłą-

czyć. Republika – moim zdaniem – nie jest bowiem niczym innym jak tylko rozwiązaniem umowy między ludem a rządem. *Adversus postem aeterna auctoritas esto!* – głosi prawo Dwunastu Tablic. Rewindykacja wobec władzy nie podlega przedawnieniu, uzurpacja jest nonsensem.

Jednak z punktu widzenia suwerenności liczby, nakazującego mandatu oraz powszechnego głosowania, które nami rządzą w większym lub mniejszym stopniu, tamci obywatele dokonali czynu uzurpatorskiego, prawdziwego zamachu przeciwko wierze publicznej oraz prawu człowieka. Jakim prawem oni, którzy nie mieli mandatu, których lud bynajmniej nie wybrał, którzy w masie obywateli stanowili tylko niedostrzegalną mniejszość, jakim prawem – powiadam – rzucili się na Tuileries jak banda rozbójników, obalili monarchię i proklamowali republikę?

Republika, mówiliśmy przy wyborach 1850 roku, stoi ponad powszechnym głosowaniem! Ta wypowiedź była odtąd bez sprzeciwu powtarzana z trybuny przez człowieka, który nie jest podejrzany o poglądy anarchistyczne – przez generała Cavaignaca. Jeżeli to zdanie jest prawdziwe, to moralność rewolucji lutowej jest pomszczona; ale co można powiedzieć o tych, którzy proklamując republikę, widzieli w niej tylko, korzystanie z powszechnego głosowania, tylko nową formę rządu? Skoro zasada rządzenia została przyjęta, ludowi pozostawało wypowiedzieć się co do formy rządu. Czy jest ktoś, kto śmiałby twierdzić, że skoro ten warunek został spełniony, lud francuski głosował na korzyść republiki?...

10 grudnia 1848 roku lud, u którego zasięgano rady co do wyboru pierwszej władzy, mianuje większością głosów Ludwika Bonaparte: pięć i pół miliona na siedem i pół miliona głosujących. Wybierając tego kandydata, lud z kolei uległ tylko swej własnej skłonności; nie liczył się z przepowiedniami ani z opiniami republikanów. Jeżeli o mnie chodzi, to ganiłem ten wybór z tej samej racji,

która 24 lutego kazała mi przyłączyć się do proklamowania republiki. I dlatego, że wybór ten ganilem, zwalczałem odtąd, o ile to było w mojej mocy, rząd pochodzący z wyboru ludu.

Jednakże z punktu widzenia powszechnego głosowania, mandatu nakazującego i suwerenności liczby byłem zmuszony wierzyć, że Ludwik Bonaparte był istotnie wyrazicielem idei, potrzeb i dążeń narodu. Jego politykę musiałem przyjąć za politykę ludu. Jeżeli ta polityka była sprzeczna z Konstytucją już przez to samo, że Konstytucja nie pochodziła bezpośrednio z powszechnego głosowania, że dzieło prawodawców nie uzyskało uświęcenia, gdy tymczasem prezydent był bezpośrednim ucieleśnieniem większości głosów – to polityka ta powinna być uznana za dozwoloną, inspirowaną i popieraną przez władzę. Ci, którzy 13 czerwca 1849 roku ruszyli na Konserwatorium – byli buntownikami. Któż przyznał im prawo przypuszczać, że lud po upływie sześciu miesięcy wyprze się swego prezydenta? Ludwik Bonaparte przedstawił się pod auspicjami swego stryja: wiedziano, co to ma znaczyć.

Cóż wy na to? Lud – mówię o ludzie takim, jaki objawia się na forum, przy urnach wyborczych; lud, którego nie śmiano, by w lutym radzić się w kwestii republiki; lud, który w swej olbrzymiej większości wypowiedział się 16 kwietnia oraz po dniach czerwcowych przeciwko socjalizmowi; lud, który wybrał Ludwika Bonaparte w uwielbieniu dla Cesarza; lud, który mianował Konstytuantę, niestety! – a później Izbę Prawodawczą, hola! Lud, który nie powstał 13 czerwca: lud, który nie wznosił okrzyku 31 maja; lud, który podpisuje petycje za rewizją i przeciwko rewizji; ów lud, który jeżeli będzie chodziło o uznanie najcnotliwszych i najzdolniejszych, o danie im mandatów do organizowania pracy, kredytu, własności, samej nawet władzy – znajdzie się w sytuacji tego, kogo uświadamiają z góry; o, jego przedstawiciele, inspirowani przez jego mądrość, będą nieomylni!

Ani p. Rittinghausen, który odkrył w Niemczech zasadę prawodawstwa bezpośredniego, ani p. Considerant, który prosi o przebaczenie Boga i ludzi, że był tak długo oporny w stosunku do tej wzniosłej idei; ani p. Ledru-Rollin, który odsyła jednego i drugiego do Konstytucji 93 roku i do Jean-Jacques'a; ani p. Louis Blanc, który zajmując pozycję, między Robespierre'em a panem Guizot wzywa wszystkich trzech do czystego jakobinizmu; ani p. de Girardin, który nie mając więcej zaufania do prawodawstwa bezpośredniego niż do powszechnego głosowania i do monarchii reprezentacyjnej uważa uproszczenie rządu za czyn szybszy, pożyteczniejszy; żaden z tych ludzi najbardziej postępowych w owej epoce nie wie, co należy zrobić, żeby zagwarantować pracę, sprawiedliwą miarę własności, uczciwość handlu, moralność konkurencji, obfitość kredytu, równość podatków itd., itd. – a jeżeli który z nich nawet wie, to nie śmie tego powiedzieć.

A dziesięć milionów obywateli, którzy nie studiowali, nie analizowali, jak ci zawodowi myśliciele, tych wszystkich spraw, nie referowali ich przyczyn, nie rozwijali ich konsekwencji, nie porównywali zasad organizacji społecznej w ich powinowactwach; dziesięć milionów ograniczonych obywateli, którzy przysięgali na wszelkie świętości, którzy przyklaskiwali wszelkim programom, którzy padali ofiarą wszelkich intryg, te dziesięć milionów wydając swoje kartki i mianując *ad hoc* swych mandatariuszy, ma rozstrzygać nieomylnie zagadnienie rewolucji! O, Panowie, wy sami w to nie wierzycie, wy się tego nie spodziewacie. W co wierzycie, czego możecie być prawie pewni, jeżeli wszystko pójdzie swoim trybem, to tego, że będziecie wszyscy przez część ludu kreowani na rzekome znakomitości: p. Ledru-Rollin na prezydenta republiki; p. Louis Blanc na ministra postępu; p. de Girardin na ministra finansów; p. Considerant na ministra rolnictwa i robót publicznych; p. Rittinghausen na ministra sprawiedliwości i oświecenia publicznego; a problem rewolucji roz-

strzygnie się sam. Ale gdzie tam, bądźmy dobrej myśli, powszechne głosowanie, mandat nakazujący, odpowiedzialność przedstawicieli, system znakomitościowy wreszcie – wszystko to jest dziecinada: co do mnie, nie powierzyłbym im zgoła ani mojej pracy, ani mojego odpoczynku, ani mego majątku; i nie narażałbym ani jednego włosa z mej głowy, żeby ich bronić.

V. Prawodawstwo bezpośrednie

Prawodawstwo bezpośrednie! Chcąc nie chcąc trzeba dojść do tego. Robespierre, cytowany przez Louis Blanca, daremnie wołał na temat autorytetu Jean-Jacques'a: „Czyż nie widzicie, że ten projekt (wezwanie do ludu) zmierza do zburzenia samego Konwentu; że skoro początkowe zgromadzenia będą zwołane, wówczas intrygi i feliantyzm skłonią je do obdarowania nas wszelkimi wnioskami, jakie będą mogły służyć ich zdradzieckim zamiarom; że one zakwestionują samą nawet proklamację republiki?... W naszym systemie widzę tylko projekt zniszczenia dzieła ludu i połączenia na nowo wrogów, których on zwalczył. Jeżeli życie szacunek tak pełen skrupulatności dla jego suwerennej woli, to umiejcie też ją uszanować; spełnijcie misję, którą on wam powierzył. To są kpiny z majestatu władcy, gdy odsyła mu się sprawę, którą on polecił wam szybko załatwić. Jeżeliby lud miał czas zbierać się w celu sądzenia spraw i rozstrzygania zagadnień państwa, nie byłby zgoła, wam powierzał troszczenia się o jego interesy. Jedynym sposobem wykazania ludowi waszej wierności jest ustanawianie sprawiedliwych praw, nie zaś prowokowanie wojny domowej”.

Robespierre bynajmniej mnie nie przekonywa. *Zbyt dobrze widzę jego despotyzm. Jeżeliby zgromadzenia początkowe – powiada on – były zwoływane w celu obradowania nad zagadnieniami państwa, Konwent byłby zburzony.* To rzecz jasna. Jeżeliby lud stał się prawodawcą, do czego byłby potrzebni przedstawiciele? Jeżeliby

lud rządził sam sobą, do czego byliby potrzebni ministrowie? Jeżeli by pozostawić ludowi tylko prawo kontroli, czym by się stała nasza władza?... Robespierre był jednym spośród tych, którzy wpajając ludowi szacunek dla Konwentu, odzwyczaili go od stanowiska publicznego i przygotowali reakcję termidora. Aby zostać przywódcą tej reakcji, brak mu było tylko tego, żeby gilotynował swych współzawodników, zamiast pozwolić w głupi sposób, aby tamci jego zgilotynowali. Wówczas stanowisko jego w oczekiwaniu niezwykłego cesarza zaznaczyło się w Triumwiracie czy w Dyrektoriacie. W losach republiki nic by się nie zmieniło; byłoby tylko jeszcze jedno wyparcie się własnych przekonań.

Wreszcie – mówią – lud nie ma czasu!... Możliwe, ale to nie powód, żebym ja się miał powoływać na Robespierre’a. Ja chcę sam się układać – powiadam wam – i skoro istnieje prawodawstwo, sam chcę być własnym swoim prawodawcą. Zaczniemy więc od usunięcia tej zazdrosnej suwerenności adwokata z Arras; następnie, gdy jego teoria zostanie zdecydowanie pogrzebana, zwróćmy się do teorii p. Rittinghausena.

Do czego on dąży?

Czy do tego, żebyśmy układali się jedni z drugimi, każdy w miarę swoich potrzeb, ale zawsze bezpośrednio? Bynajmniej: p. Rittinghausen nie jest do tego stopnia wrogiem władzy. On pragnie, tylko aby zamiast posługiwać się powszechnym głosowaniem przy wyborze prawodawców, posługiwać się nim przy opracowywaniu prawa jednolitego i bezosobowego. Jest to więc jeszcze walka, jeszcze mistyfikacja.

Nie będę bynajmniej powtarzał, co na temat powszechnego głosowania w stosunku do prawodawstwa przytaczano od niepaamiętnych czasów jako zarzuty przeciwko zgromadzeniom obradującym; na przykład zarzut, że jeden głos stanowi o większości, że dzięki jednemu głosowi prawodawca ustanawia prawo. Gdy ten głos

przeważa na prawo, prawodawca mówi: tak; gdy na lewo – mówi: nie. Ta niedorzeczność parlamentarna, która jest silną sprężyną szelmostwa politycznego przeniesionego na grunt powszechnego głosowania, sprowadziłaby niewątpliwie okropne zatargi oraz potworne skandale. Lud-prawodawca stałby się wkrótce wstrętny dla samego siebie i byłby zdyskredytowany. Pozostawiam te zarzuty pomniejszym krytykom i zatrzymuję się jedynie przy zasadniczym błędzie, a więc nieuniknionym rozczarowaniu płynącym z tego rzekomo bezpośredniego prawodawstwa.

To, czego szuka p. Rittinghausen, chociaż o tym nie mówi, to myśl ogólna, zbiorowa, syntetyczna, niepodzielna, słowem: myśl ludu uważanej już nie za tłum ani za istotę rozumną, lecz za egzystencję wyższą i żywą. Teoria Rousseau jego samego do tego doprowadziła. Czego on chciał, czego chcieli jego zwolennicy przez swoje powszechne głosowanie i przez swe prawo większości? Przybliżyć, jak tylko można najbardziej, rację ogólną i oddziałyującą, uważającą opinię większości za adekwatną w stosunku do tej racji. P. Rittinghausen przypuszcza więc, że przegłosowanie prawa przez cały lud zapewni większe przybliżenie aniżeli przegłosowanie przez większość przedstawicieli: w tej właśnie hipotezie mieści się cała oryginalność, cała moralność jego teorii.

Ale taka supozycja zawiera w sobie nieuchronnie przypuszczenie, że w zbiorowości ludu istnieje myśl *sui generis*, zdolna do jednoczesnego reprezentowania interesu zbiorowego oraz interesu indywidualnego, i że można ją obciążyć w mniejszym lub większym stopniu poprzez jakąkolwiek metodę wyborów czy głosowania; a więc lud nie jest tylko istotą rozumną, osobowością moralną – jak mówił Rousseau – ale również osobowością konkretną, która posiada swą realność, swoją indywidualność, swoją istotę, swoje życie, swój własny rozum. Gdyby było inaczej, gdyby nie było prawdą, że składanie głosów czy głosowanie powszechne jest tutaj uważane

przez swych zwolenników za największe przybliżenie do prawdy, zapytałbym, na czym się zasadza obowiązek mniejszości, obowiązek podporządkowania się woli większości? A więc idea realności i osobowości istoty zbiorowej, idea, którą Rousseau neguje od samego początku w sposób jak najbardziej dobitny, leży u podstaw tej teorii; z większą słusnością powinna się odnaleźć w tych teoriach, które mają na celu wprowadzenie interwencji ludu do prawa w sposób bardziej całkowity i bardziej bezpośredni.

Na razie nie obstać przy realności i osobowości istoty zbiorowej, przy idei, która do dzisiejszego dnia nie ukazała się w pełni żadnemu filozofowi i której wykład wymagałby dla niej samej pokazanego tomu. Ograniczam się do przypomnienia, że ta idea, która tylko wyraża w sposób konkretny pozytywną suwerenność rodzaju ludzkiego identyczną z suwerennością indywidualną, jest tą zasadą, która jakkolwiek nie uznana, ukryta jest we wszystkich systemach narady ludowej, i wracając do p. Rittinghausena, powiadam mu:

Jak Pan może sądzić, że myśl jednocześnie szczegółową i ogólną, zbiorową i indywidualną, słowem syntetyczną, można uzyskać w drodze głosowania, tj. właśnie za pomocą oficjalnej formuły różnorodności? Sto tysięcy głosów śpiewających *unisono* dostarczy Panu mglistego zaledwie wyrazu istoty ludowej. Natomiast sto tysięcy głosów indywidualnie powołanych do radzenia, przy tym poszczególne odpowiadających zgodnie ze swym własnym poglądem, sto tysięcy głosów śpiewających oddzielnie na rozmaite tony da w efekcie okropną kocią muzykę; i im więcej będzie Pan w tych warunkach mnożył owe głosy, tym większy powstanie zamęt. Wtedy wszystko, co Pan może zdziałać, aby zbliżyć się do rozumu zbiorowego, który jest samym rdzeniem istoty ludowej, sprowadzi się do zebrania umotywowanej opinii poszczególnych obywateli, do przeprowadzenia obliczeń wszystkich opinii, do porównania motywów, do dokonania ich redukcji, następnie do wyprowadzenia stąd

za pomocą mniej lub więcej ścisłej indukcji – syntezy, tj. myśli ogólnej, wyższej, która jedyna może być przypisana ludowi. Ale ile czasu wymagają czynności tego rodzaju? Kto się podejmie ich wykonania? Kto będzie odpowiedzialny za dokładność roboty, za pewność wyników? Jaki logik podejmie się wyciągnąć z tej urny wyborczej, zawierającej jedynie popioły, zarodek żywy i ożywczy – ideę ludową?

Tego rodzaju problemat jest widocznie nie do rozwikłania, jest nierozwiązalny. Toteż p. Rittinghausen po wysunięciu najpiękniejszych maksym na temat niedającego się urzeczywistnić prawa ludu do stanowienia swoich własnych praw skończył na tym, jak zresztą wszyscy działacze polityczni, że trudność tę ominął. To już nie lud będzie wysuwał zagadnienia – będzie to czynił rząd. Na zagadnienia wysunięte wyłącznie przez władzę ludowi pozostaje tylko odpowiadać tak lub nie, jak dziecku w katechizmie. Nie pozostawia mu się nawet możliwości wprowadzenia poprawek.

W tym systemie niezharmonizowanego prawodawstwa wszystko musiało się tak ułożyć, jeżeli chciało się cośkolwiek wydobyć z mnogości. P. Rittinghausen uznał to chętnie. On przyznaje, że gdyby lud wzywany przez swoje związki miał możliwość wprowadzenia poprawek do zagadnień albo, co ważniejsze, miał możliwość ich wysuwania, to prawodawstwo bezpośrednie byłoby tylko utopią. Ażeby prawodawstwo to było wykonalne, trzeba, by władca stale regulował wszystko na zasadzie alternatywy, która musiałaby zawierać w jednym swym członie całą prawdę i wyłącznie prawdę; w drugim zaś – całkowity błąd i wyłącznie błąd. Jeżeliby jeden z członów tej alternatywy zawierał mniej więcej prawdę lub też mniej więcej błąd, wówczas władca, zwiedziony zagadnieniem wysuniętym przez ministrów, odpowiedzialby niezawodnie jakimś głupstwem.

Jest przeto rzeczą niemożliwą uniknąć dylematu w zagadnie-

niach ogólnych, obejmujących interesy całego ludu; to znaczy, iż niezależnie od tego, w jaki sposób zagadnienie zostanie ludowi przedstawione, jest rzeczą niemal nieuniknioną, że lud się omyli.

Uwidocznijmy to na przykładach.

Przypuśćmy, że postawione zagadnienie będzie brzmiało: Czy rząd ma być bezpośredni czy pośredni?

Po powodzeniu, jakie osiągnęły wśród demokracji idee panów Rittinghausena i Consideranta, można mniemać z całą niemal pewnością, że odpowiedź w olbrzymiej większości będzie brzmiała: bezpośredni. Otóż czy rząd będzie bezpośredni czy pośredni – w gruncie rzeczy pozostanie zawsze taki sam: jeden nie jest więcej wart niż drugi. Jeżeli lud, którego się radzą, powie nie, to będzie to rezygnacja; jeżeli powie tak – zniszczy siebie. I co powiecie o takim wyniku?

Inne zagadnienie.

Czy w rządzie mają być dwie władze czy też tylko jedna? Wyraźniej: Czy zamianuje się prezydenta?

Przy obecnym stanie umysłów nie ulega żadnej wątpliwości, że odpowiedź, inspirowana przez republikanizm uważający się za bardzo postępowy, nie byłaby negatywna. Otóż jak wiadomo każdemu, kto się zajmował organizacją rządową, i co zresztą zostanie przeze mnie zaraz dowiedzione – lud, łącząc wszystkie władze w jednym i tym samym Zgromadzeniu, trafi z deszczu pod rynnę. A przecież zagadnienie wydawało się takie proste.

Czy podatki mają być proporcjonalne czy progresywne?

W innych czasach proporcjonalność wydawała się rzeczą naturalną; obecnie osąd zmienił kierunek: można postawić sto przeciwko jednemu, że lud wybierze progresję. I cóż. Tak w jednym, jak i w drugim przypadku władca popełni bezprawie. Jeżeli podatki będą proporcjonalne, to ofiarą padnie praca, jeżeli będą progresyw-

ne – ofiarą będzie talent. W obu przypadkach interes publiczny będzie poszkodowany, a interes prywatny niezaspokojony; wykazują to niezbicie nauki ekonomiczne, wyższe ponad wszelkie głosowania. A przecież to zagadnienie wydaje się jednym z najbardziej elementarnych.

Przykłady mógłbym mnożyć w nieskończoność: wolę jednak przytoczyć te, jakie podaje p. Rittinghausen, który, oczywiście, uważa je za dostatecznie jasne i przekonujące.

Czy należy przeprowadzić linię kolejową z Lyonu do Avignonu?

Lud na pewno nie powie nie, jako że jego największym pragnieniem jest podnieść Francję do poziomu Belgii i Anglii, zmniejszając odległości i popierając z całych sił cyrkulację ludzi i towarów. Lud odpowie więc tak, jak to przewidział p. Rittinghausen. Otóż owo tak może zawierać w sobie poważną omyłkę; w każdym razie jest targnięciem się na prawo lokalne.

Chalon i Avignon są połączone linią wodną, którą dokonuje się przewozów o 70% taniej niż według taryfy kolejowej. Linia ta może jeszcze obniżyć swe ceny – coś niecoś mi o tym wiadomo – do 90%. Zamiast budować drogę żelazną, która będzie kosztowała 200 milionów i która zrujnuje handel czterech departamentów, dłaczegoż, by nie wykorzystać linii wodnej, co nie pociągnęłoby za sobą żadnych kosztów?... Ale w Pałacu Prawodawczym nie rozumują w ten sposób, nie bierze się tam pod uwagę czynnika handlowego, a ponieważ lud francuski, z wyjątkiem mieszkańców znan Rodanu i Saony, wie nie więcej niż jego ministrowie o tym, co się dzieje na tych dwóch rzekach, przeto będzie mówił – co łatwo przewidzieć – nie tak jak myśli, ale według życzenia swych urzędników. Osiemdziesiąt dwa departamenty skazą na ruinę cztery inne, tego żąda prawodawstwo bezpośrednie.

Kto ma budować kolej, państwo czy też jakieś towarzy-

stwo ubezpieczeń?

W roku 1849 towarzystwa miały poparcie. Lud oddawał im swoje oszczędności; p. Arago, uczciwy republikanin, oddał im swój głos. Wówczas nie wiedzano, czym są te towarzystwa. Obecnie państwo pociąga lud za sobą i lud, zawsze równie dobrze poinformowany, niewątpliwie odda pierwszeństwo państwu. Otóż niezależnie od tego, po czyjej stronie stanie lud, suwerenny prawodawca będzie także tutaj tylko kukłą w rękach ludzi ambitnych, ludzi specjalnego pokroju. Gdy pójdzie ręka w rękę w towarzystwami, wtedy narażony będzie na niski poziom cen, na handel zostanie nałożony okup; gdy pójdzie z państwem – praca utraci swą wolność. Jest to system Muhammad Alego zastosowany do transportu. Jakaż to dla kraju różnica, czy koleje wzbogacają dzierżawców podatkowych, czy dostarczają synekur przyjacielom p. Rittinghausena?... Trzeba by kolejom nadać nową cechę, trzeba by je udoskonalic i objąć ustawą o kopalniach z 1810 roku oraz odstąpić ich eksploatację, na określonych warunkach, odpowiedzialnym towarzystwom nie kapitalistów, lecz robotników. Ale prawodawstwo bezpośrednio nie dojdzie nigdy do wyzwolenia człowieka: jego formuła jest ogólna, ono wszystkich ujarzmi.

W jaki sposób państwo ma budować kolej? – Czy potrzebne kwoty ma uzyskać przez ściąganie podatków, czy też zaciągając pożyczkę u bankierów na 8 do 10%, czy wreszcie wydając dekret o emisji pieniężnych bonów obiegowych zabezpieczonych na samej tej kolei?

Odpowiedź: Wypuszczając pieneżne bony obiegowe.

Przepraszam p. Rittinghausena: rozwiązanie, jakie on tu podaje w imieniu ludu, chociaż znajdzie mocny kredyt w demokracji, nie będzie przez to nic więcej warte. Może się bardzo łatwo zdarzyć i jest nawet bardzo prawdopodobne, że emitowane bony stracą na dyskoncie 5, 10, 15% albo i więcej: wówczas tryb wykonania będzie

trzy lub czterokrotnie bardziej uciążliwy dla ludu aniżeli podatek czy pożyczka. Cóż to ludowi szkodzi – powtarzam – płacić bankierom lichwiarskie procenty albo czynnikom władzy, zajmującym najwyższe stanowiska, dopłacać różnicę?

Czy państwo ma dokonywać transportu bezpłatnie, czy też czerpać dochód z kolei żelaznej?

Jeżeli lud domaga się transportu bezpłatnego, to sam stwarza sobie złudzenia, gdyż wszelkie usługi powinny być płatne; jeżeli lud decyduje, że państwo ma czerpać stąd dochody, to działa przeciwko swojemu własnemu interesowi, ponieważ usługi publiczne nie powinny dawać zysków. A więc problem jest źle postawiony. Należało zapytać: Czy cena transportu ma być, czy też nie ma być równa cenie kosztu? Ale wobec tego, że cena kosztu zmienia się nieustannie i że potrzeba wiedzy oraz specjalnego prawodawstwa, aby stosować ją w sposób jednolity, to z tego ostatecznie wynika, że i w tym punkcie, jak we wszystkich innych, odpowiedź ludu będzie nie prawem, lecz niespodzianką.

Czy nie jest więc jasne, że to prawodawstwo bezpośrednie jest tylko odwieczną sztuczką kuglarską? Na sto zagadnień postawionych ludowi przez rząd dziewięćdziesiąt dziewięć będzie rozstrzygniętych tak jak podane wyżej przypadki, a będzie tak dlatego – p. Rittinghausen, który jest logikiem, nie może o tym nie wiedzieć – że zagadnienia stawiane ludowi będą zazwyczaj zagadnieniami specjalnymi, powszechne zaś głosowanie może dawać tylko odpowiedzi ogólne. Prawodawca działający mechanicznie, zmuszony nagiąć się do dylematu, nie będzie mógł zmieniać swej formuły stosownie do miejsca, chwili, okoliczności; odpowiedź obliczona na wyobraźnię ludową będzie z góry wiadoma i niezależnie od tego, jak będzie brzmiała, zawsze będzie niewłaściwa.

VI. Rząd bezpośredni czy konstytucja roku '93. Ograniczenie do absurdu idei rządowej

Pozycja, jaką zajął w tym sporze p. Ledru-Rollin, jest godna uwagi. Jeżeli dobrze zrozumiałem jego myśl, to pragnął on wszystkiego naraz: przede wszystkim pragnął przywrócić Konstytucji '93 roku pierwotną ideę rządu bezpośredniego; następnie pragnął wykazać, że ta konstytucja, która stanowiła kulminacyjny punkt postępu demokratycznego, osiąga, a może nawet przekracza granice możliwości; wreszcie pragnął oderwać umysły od czczych osobliwości utopii i skierować je na autentyczną drogę rewolucji.

W tych kwestiach p. Ledru-Rollin – chętnie to przyznaję – okazał się liberalniejszym od p. Louis Blanca, nieugiętego sekciarza rządowości Robespierre'a, a także rozumniejszym w rzeczach polityki od pp. Consideranta i Rittinghausena, których teoria pogrążona w niemożliwościach nie posiada nawet waloru prawdziwej i niebudzącej wątpliwości logiki.

Pan Ledru-Rollin uosabiający Konstytucję '93 roku jest niby żywy problem, który przemawia do ludu: Wy nie możecie w niej pozostać, ale też nie wyjdziecie ponad nią. I trzeba przyznać, że ta ocena Konstytucji '93 roku jest prawdziwa.

Ale dochodzę do wniosku, że Konstytucja '93 roku, ustanowiona przez najliberalniejsze umysły Konwentu, jest pomnikiem wzniesionym przez naszych ojców jako świadectwo przeciwko reżimowi politycznemu; powinna być dla nas pouczeniem, nie programem, powinniśmy przyjąć ją za punkt wyjścia, nie zaś za cel osiągnięć. Pan Ledru-Rollin jest człowiekiem postępu: nie potrafiłby wyłączyć wniosku, który biorąc Konstytucję '93 roku, za ostatni wyraz praktyki rządowej wznosi się przy pomocy tego punktu oparcia do sfery wyższej i nagle zmienia grunt rewolucyjny.